Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem

JEDNOTA

ORGAN POLSKIEGO KOŚCIOŁA EWANGELICKO-REFORMOWANEGO

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK II — WARSZAWA, MAJ 1927 R. — Nr. 5

REDAKTOR: Ks. St. SKIERSKI
Adres Redakcji:
WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 3.

WYDAWCA:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO - REFORMOWANEJ
ADRES ADMINISTRACJI — LESZNO 20.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł 12; półrocznie zł 6; kwartalnie zł 3. Pojedyńczy numer zł 1.50.

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-tej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 12.423.

TREŚĆ NUMERU:

1. *Ks. Ludwik Zaunar.* Źródło i cel życia naszego 73
2. *Stilling.* Jakoś to będzie 74
3. *Kazimierz Kosiński.* Witkiewicz i Tatry 76
4. *Leon Rygier.* Doznania religijne w najnowszej literaturze polskiej, d. c. 80
5. *Prof. Karol Serini.* Religja i kultura współczesna, d. c. (Mistyka) . . . 83
6. Odgłosy jubileuszowe (przemówienie Pana Prezesa Emila Świdy) . . 85
7. —*S*— Wiadomości z Kościoła i o Kościele 86
8. Ofiary na wydawnictwo, wykaz nabożeństw . . . . . —

OFIARY NA WYDAWNICTWO

Oprócz prenumeraty wpłacili na wydawnictwo:

1. Pan Władysław Paschalis — Warszawa . . . zł. 3.00
2. „ August Deloff — Warszawa . . . . . „ 9.00
3. „ Wacław Baloun — Czeski Boratyn . . . „ 3.00
4. „ Edward Brinckenhoff — Łódź . . . . . „ 3.00
5. „ Karol Dippel — Sosnowiec . . . . . „ 3.00
6. Pan Stefan Kłosiński — Hrubieszów . . . . l. 4.00
7. „ Karol Zander — Warszawa . . . . . „ 4.00
8. Pani Emma Szwanderowa — Warszawa . . . „ 8.00
9. „ Anna Białozorska — Warszawa . . . . „ 3.00
10. Pan Karol Pospiszył — Zelów . . . . . „ 10.00

SERDECZNE DZIĘKI.

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc czerwiec 1927 r. nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11·15 przedpoł., o ile nie jest podana inna godzina.

1. Niedziela, dnia 5.VI (I Święto pamiątki Zesł. Ducha Św.) . . . . . — Ks. St. Skierski.
2. Poniedziałek, dnia 6.VI (II Święto pamiątki Zesł. Ducha Św.) . . . . . — Ks. W. Semadeni.
3. Sobota, dnia 11.VI (Przygotowanie do Kom. Św.) o g. *6 p.p.* . . . . . — Ks. W. Semadeni.
4. Niedziela, dnia 12.VI (Trójcy Św. *Synod*) Nabożeństwo z Kom. Ś-tą, o g. *10 rano* — Ks. W. Semadeni.
5. Niedziela, dnia 19.VI (N. I po Trójcy) z Kom. Św. . . . . — Ks. St. Skierski.
6. Niedziela, dnia 26.VI (N. II po Trójcy) . . . . . — Ks. W. Semadeni.

ROK II WARSZAWA, MAJ 1927 R. Nr 5

Redaktor: **Ks. St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 3

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

ŹRÓDŁO I CEL ŻYCIA NASZEGO.

Ewang. Jana 16$_{28}$: „Wyszedłem od Ojca i przyszedłem na świat; znowu opuszczam świat i idę do Ojca!"

NIEMA WIĘKSZEJ ZAGADKI dla nas na tym świecie nad kwestje pochodzenia, treści i celu naszego życia, kwestje źródła naszego tutaj istnienia i jego istotnego znaczenia.

To też zagadnienie to zaprzątało od prawieków umysł człowieka, niezależnie od czasu i stopnia jego rozwoju umysłowego i duchowego, a czynił to człowiek w nadziei, że, znalazłszy odpowiedź na to pytanie, znajdzie tę upragnioną instynktownie równowagę duszy swej, która mu da szczęście i spokój we wszystkich tego życia okolicznościach i jednocześnie zagwarantuje mu ciągłość z nieznaną mu przyszłością, której niepewność jest dlań źródłem niepokoju i trwogi, a co zatem idzie słabości wewnętrznej.

Rozwiązaniu zagadki życia poświęciła i poświęca ludzkość cała swe najlepsze wartości, wprzęgając do pracy nad niem umysły i serca swych najwybitniejszych przedstawicieli. Poszukiwanie rozwiązania pytania tego poszło — a zaznaczymy to odrazu — pójść musiało dwoma drogami: drogą wewnętrznej intuicji i drogą ścisłych badań i dociekań rozumowych, wytwarzając z biegiem czasu pojęcia i pewniki z jednej strony religijno- moralne, z drugiej zaś naukowe. Religja i nauka stanęły do pracy nad zagadnieniem życia, pragnąc dać nam jasną i ostateczną odpowiedź skąd pochodzi i dokąd zmierza człowiek w swych istotnych wartościach, jaki jest sens i treść jego życia?

Pomimo, iż utarło się płytkie i powierzchowne mniemanie, iż religja i nauka nietylko współzawodniczą ze sobą, ale wręcz wyłączają się wzajemnie, pomimo, iż dość powszechnem jest zdanie, a raczej oczekiwanie, iż rozkwit nauki pociągnąć za sobą musi nieuchronnie zanik religji, to samo życie, które jest przedmiotem badania tak nauki, jak i religji, udawadnia nam stale, że o żadnej sprzeczności istotnej niema mowy, bo, właściwie mówiąc, są to dwie różne, ale do tego samego celu wiodące drogi, dwie, różne coprawda, ale tej samej treści szukające metody badania. Nauka — to analiza zjawisk i praw życia, mająca pokazać następnie źródło tegoż, religja — to synteza życia, ustalająca jego ogólne prawo i naczelną zasadę, dostrzegająca w niej jednocześnie jego źródło i cel. Te dwie metody nie mogą się przeto wyłączać, wręcz

odwrotnie — uzupełniają się one i uzupełniać muszą, bo jedna, ucząc nas oglądać zjawiska życia niejako z dołu, nie jest w stanie ukazać nam ich ze strony przeciwnej, co na jej miejscu czyni druga. Nauka uczy nas przyglądać się bacznie najdrobniejszym nawet tego życia przejawom, wiąże je w łańcuch przyczynowej współzależności i wskazuje ogromne ich bogactwo i różnorodność, ale jednocześnie mimowoli odciąga człowieka od tej naczelnej zasady, której ustalenie jest wszak celem jej badań, bo gubi się w bogactwie życia, ustalając — przynajmniej narazie—jedynie wielkie znaki zapytania na drogach swych badań i prac. Te znaki zapytania usuwa nam z drogi religja, ustalając swe twierdzenia nie na podstawie mikroskopowych lub teleskopowych obserwacji, nie na zasadzie przesłanek zimnej logiki, ale kierując się w swych przejawach tkwiącą w tajnikach duszy ludzkiej tęsknotą do równowagi duchowej i szczęścia trwałego. I oto, podczas gdy wiedza budzi w człowieku cały szereg wątpliwości zasadniczych, a przez to budzi niepokój i niepewność, religja, dająca swą odpowiedź na pytania o źródłach i celach życia, daje wyznawcy swemu tę niewytłomaczalną, nieuchwytną dla najgłębszej nawet wiedzy moc ducha, która istotnie daje człowiekowi maksimum spokoju i siły w życiu.

Klasycznym przykładem takiego człowieka był Zbawiciel nasz — Jezus Chrystus, to też nic dziwnego, że my, wyznawcy Jego, tak chętnie szukamy u Niego rady i pomocy, że nawet ludzie Jemu obcy, a nawet niechętni, z podziwem patrzeć muszą na tego, który wcielić umiał i przez nich upragniony ideał. Bo oto Jezus daje nam odpowiedź na pytanie, jakiem jest źródło i cel życia naszego? Odpowiada On w sposób prosty, jasny a jednocześnie ujmujący treść zagadnienia w sposób zupełny, kiedy mówi: „wyszedłem od Ojca (Boga) i przyszedłem na świat, znowu opuszczam świat i idę do Ojca". Od Boga, jako źródła, poprzez życie ziemskie do Boga, jako celu — trudno o bardziej proste, a jednocześnie bardziej wspaniałe i wyczerpujące ujęcie całego zagadnienia!

A ile jest w tej odpowiedzi mocy i spokoju, ile wartości życiowej, niech świadczy nam On sam, który dzięki tej odpowiedzi umiał być silnym i szczęśliwym w chwilach największych niemocy i w momentach największych kryzysów ducha. To samo życie, którego źródło i cel widział Jezus w Bogu, z pokolenia na pokolenie i od wieku do wieku, dawało wspaniałe dowody, ile prawdy zawarł Jezus w swej odpowiedzi i ile mocy i szczęścia dał tym, którzy tę Jego odpowiedź za swoją uznać umieli!

Oby i nam wszystkim stała się ona naszego serca i naszego życia istotną i szczerą odpowiedzią!

Ks. LUDWIK ZAUNAR.

JAKOŚ TO BĘDZIE.

Serce zatwardza się, a mózg staje się miękki w naszych zdenerwowanych czasach. *(Robertson).*

O wielu sprawach myślimy i uczymy się i czytamy. Poświęcamy wiele czasu najróżnorodniejszym rzeczom, nieraz błahym. Polityka i sporty, zabawy, stroje, jedzenie i picie zaprzątają nasze serca i umysły. Ale najważniejszej sprawie, najdonioślejszemu zagadnieniu istoty, celu i bytu i powołania człowieka nie poświęcamy dostatecznej uwagi. O wszystko się pytamy, ale nad tem, dlaczego żyjemy, do jakiego zdążamy celu, nie zastanawiamy się.

Żyje człowiek z dnia na dzień. Byle mieć co jeść i pić, byle mieć dach nad głową, byle się człowiekowi jako tako powodziło — wszystko inne odsuwa od siebie, ażeby mu to nie mąciło spokoju, potrzebnego do trawienia.

O los duszy nie troszczy się człowiek. To jest sprawa kościoła. Dlatego się do kościoła należy, płaci odpowiedni podatek kościelny, uczęszcza na nabożeństwa, wykonuje przepisane praktyki religijne, by być o duszę spokojnym. Reszta należy do kościoła i księży.

Pochodzi to z braku myślenia. Ludzie się boją własnych myśli, myśli o sobie. Podobni są do ptaków, które się zlękły swych skrzydeł, ażeby ich za daleko nie poniosły. Nie umieją niczego przemyśleć, nad niczem się dokładnie zastanowić, nie umieją ustalić zasad i przekonań. Traktują wszystko po wierzchu, słowa Chrystusowego, wypowiedzianego do Szymona: „Zajedź na głębię", nie biorą sobie do serca.

Czasy dzisiejsze są uczone. Pełno jest badania, szukania, odkryć, wynalazków. A jednak pomimo całej uczoności, pomimo całej powodzi książek, które się wydaje i czyta, ludzie mało myślą. A może właśnie dla tej powodzi książek brak jest myślenia. Już bowiem Platon przez usta Sokratesa powiada, że gdy pewnego razu egipski bóg Theuth zalecał swój wynalazek pisma królowi

egipskiemu Thamusowi, tenże rzekł: „Uczniom swoim dasz tylko pozór mądrości, a nie mądrość prawdziwą. Posiędą bowiem wielkie oczytanie bez nauki i będzie się im zdawało, że wiele umieją, a po większej części nie będą umieli nic i tylko obcować z nimi będzie trudno; to będą mędrcy z pozoru, a nie ludzie mądrzy naprawdę". (Platon, Fajdros). To samo można dzisiaj dosłownie bez zmiany powiedzieć. Im więcej książek, gazet, im więcej oczytania, tem mniej samodzielnego myślenia, tem mniej zastanawiania się nad najważniejszemi problemami.

Dla tego braku myślenia żyją ludzie bez programu. Bo niema programu tam, gdzie niema odpowiedzi na pytanie: poco człowiek żyje na świecie, dokąd zdąża, jakie jest życia ludzkiego zadanie i jaki cel. A takie życie bez programu jest życiem straconem. Ludzie tacy do niczego w życiu nie doprowadzą, nic nie stworzą. Ów nie zajdzie nigdzie człowiek, który sobie nie wytknął celu, nie ustalił kierunku, który idzie raz na prawo, raz na lewo. Życie jest podobne do podróży przez wielki las. Kto chce bezpiecznie przezeń przejść, musi ciągle mieć na oku cel, musi zdążać w jednym kierunku.

Dzisiejsze czasy stoją pod znakiem technicznych wynalazków. I panuje przekonanie, że człowiek, żyjący w tych czasach, nie może zastanawiać się nad sprawami niematerjalnemi, nad zagadnieniami duszy. Wszystko, co przypomina religję, uchodzi za niegodne nowoczesnego człowieka, jest skazane na banicję. A jednak takie wyrzeczenie się dziedziny ducha jest wielkiem zubożeniem człowieka. „Skoro wszelka myśl i zdolność skierowana jest nazewnątrz, a troska o położenie wewnętrzne, o stan duszy jest usuwana coraz bardziej, dusza nieuchronnie musi zubożeć; przy całem powodzeniu człowiek staje się ubogim i pozbawionym treści, obniża się do środka tylko i narzędzia bezosobowego procesu kulturalnego, który go używa lub odrzuca według swoich potrzeb, który w demonicznym pędzie, niby burza, przebiega nad życiem i śmiercią jednostek i pokoleń, bez rozumu i myśli o sobie, bez miłości i troski względem człowieka". Temi słowy przestrzega Rudolf Eucken przed grożącem człowiekowi niebezpieczeństwem. (Rudolf Eucken. Wielcy myśliciele).

Trzeba więc człowiekowi, który wskutek ogromnego postępu techniki i coraz nowych wynalazków coraz więcej jest pochłonięty przez otaczający go świat zewnętrzny, zwrócić się znowu na wewnątrz i nie zapomnieć o swojem jestestwie. Człowiek rozumny nie może iść przez życie bez zastanowienia się nad tem, poco żyje na świecie, dokąd zdąża, co będzie, gdy życie ziemskie się skończy? Życie ciągle zadaje te pytania. Każde nieszczęście, każdy ból, każda śmierć, każdy cmentarz, każdy rok upłyniony, każdy wieczór i każde rano nam to przypomina i żąda odpowiedzi. Strusia polityka wkładania głowy w piasek, westchnienie: Jakoś to będzie! — nie rozwiąże zagadnienia.

Myślenie wyróżnia człowieka z pośród stworzeń, myślenie daje mu dostojeństwo i blask majestatu. Myśl ma wielkie znaczenie w życiu człowieka, ona decyduje o jego przyszłości: „To, co dziś myślicie, stanowi o tem, czem będziecie jutro". (Zofja Hartingh. Ku światłu). Duch człowieka wyciska swe piętno na jego cielesnej powierzchowności tak, że wprawne oko z łatwością odróżni człowieka myślącego od niemyślącego. Myślą człowiek łączy przeszłość z przyszłością, myślą przybliża to, co dalekie, myślą zdolny jest przenosić się w zaświaty. Dlatego wszelka bezmyślność, wszelkie ograniczanie myślenia jest poniżeniem ludzkiej godności.

To też niema wielkości bez konsekwentnego myślenia. Wielcy ludzie, którzy wielkich dzieł dokonali, stali się wielkimi przez myślenie. I Kolumb i Kopernik i Luter nie byliby niczego dokonali, gdyby nie mieli niewzruszonego przekonania, pochodzącego z konsekwentnego przemyślenia problemu.

Takiego konsekwentnego myślenia potrzeba w sprawie zagadnienia bytu, powołania i celu człowieka. Wszelkie składanie tego obowiązku na kościół, wszelkie uwalnianie się od obowiązku myślenia, wszelkie odpowiadanie w tak ważnych sprawach westchnieniem: „Jakoś to będzie" nie jest godne człowieka myślącego. Trzeba zrehabilitować wzgardzoną dziś myśl religijną, trzeba mieć odwagę jasno i wyraźnie się zdeklarować.

A ponieważ wszelkie rozmyślanie i szukanie w tych najważniejszych sprawach musi się natknąć na Chrystusa, który na wszystkie te pytania daje odpowiedź, dlatego musi każdy, ktokolwiek o los duszy się zatroska, zająć wobec Niego stanowisko. Pytanie: „Co się wam zda o Chrystusie", do każdego myślącego człowieka przystępuje i żąda odpowiedzi. Za wielki jest Chrystus, by można koło niego przejść niepostrzeżenie. Ale to spotkanie się z Chrystusem jest tak brzemienne w skutki, że ludzie, nie lubiący myślenia i decyzji, wolą chyłkiem się przemykać, by się z Nim nie zetknąć. I całe nasze dzisiejsze chrześcijaństwo nosi na sobie piętno tego przemykania się chyłkiem koło postaci Jezusa Chrystusa. I dlatego nasze chrześcijaństwo jest takie bezsilne, anemiczne; brak mu zdecydowania, męskiego przekonania. Bo jak w sprawach tego świata tylko zdecydowani ludzie do czegoś doprowadzą, tak i w sprawach duszy i wiary zasadą jest, że „królestwo Boże porywają gwałtownicy". *Stilling.*

CHCESZ SIĘ CHLUBIĆ ZBIORAMI PEŁNEMI, ZWRACAJ SERCE KU NIEBU A DŁONIE KU ZIEMI.

A. KOŻMIAN.

WITKIEWICZ I TATRY.

I.

Istnieje przekonanie, że Witkiewicza talent opisowy przejawił się w momencie, kiedy Witkiewicz poznał Tatry. Ich niebotyczność, monumentalność i piękno obok surowej powagi i grozy miały uderzyć jego wyobraźnię tak, że odnalazł się w nim niespodzianie poeta Tatr. Twierdzenie to jest o tyle niesłuszne, że przed górami porwało go już i zachwyciło morze i jemu to Witkiewicz zawdzięczał rozbudzenie w sobie talentu opisowego. W r. 1885, jak wiemy, spędził Witkiewicz lato w Połądze, którego opis umieścił był potem w kilku numerach Wędrowca z tego roku.*).

Fragment powyższy możemy uważać za prototyp Na przełęczy, tak dalece tonem ogólnym przypomina późniejsze jego arcydzieło. I tu i tam Witkiewicz oddaje się całkowicie wrażeniom, dla których szuka pełni wyrazu w opisie. Morze porwało go tak, jak potem góry i starał się Witkiewicz stworzyć jego epopeję, jak potem stworzył epopeję gór w Na przełęczy, rzecz atoli nie została skończona. Poza opisami morza, w stanie spokoju i ciszy, przy pogodnem niebie, w omgleniu poranka, czy też w czasie burzy, ponadto sięgał Witkiewicz do legend, np. w opisie góry Biruty i do miejscowych ludzi. I jeszcze jedno: zarówno morze, jak góry, ujmował przedewszystkiem z punktu widzenia malarskiego, ich plastyki, ich barw, ich kolorytu i piękna.

Morze doprowadzało go zrazu swoją ruchliwością do rozpaczy i nie umiał też na razie robić zeń szkiców malarskich. Skarżył się na to w listach do rodziny **), czasem od ręki na marginesie listu podawał jakiś motyw morza, nie mógł też wyczuć zrazu jego oddali i bezkresu. Pisał we wspomnianym szkicu, że morze wcale nie jest bezkresne dla oczu, że „tylko odległość pierwszych fal, rozwalających się na mieliźnie, daje pojęcie o przestrzeni, za niemi siny wał wody zdaje się czasem kończyć o paręset kroków, czasem stoi prosto, jak mur, czasem w jednym punkcie wydaje się wypukłym, a na lewo i prawo spada gdzieś kolistą linją". Pisze Witkiewicz, że „nawet okręt, płynący po linji horyzontu, wskutek stosunku do jednostajnie poziomej płaszczyzny morza i drgań promieni w parze, unoszącej się w powietrzu, wydaje się większy, wyższy i odbiera złudzenie oddalenia". W rezultacie takie samo pojęcie bezkresu, jak twierdził, daje pierwsze lepsze większe jezioro, którego nie widać brzegów przeciwnych.

Ale to wszystko narazie. Kiedy potem przyszedł wicher, a co zatem idzie i odnośne wrażenia słuchowe wzmożonego szumu morskiego, który w czasie burzy przeradza się w groźny i potężny ryk bałwanów, natenczas morze odezwało się do niego swojem groźnem — jestem — i przejawiło się w postaci imponującego żywiołu, który dawał już wyobrażenie nietylko grozy, ale i potężnej wielkości, oraz niezmierzonej przestrzeni. Wtenczas dopiero Witkiewicz stanął wobec morza, jako wobec prawdziwego piękna. Mimo to obserwacja jego malarska ograniczała się siłą faktów wyłącznie do samych fal w niewielkiem oddaleniu od brzegów, fal, które mogły tworzyć najfantastyczniejsze obrazy, znikome przytem i nieuchwytne.

W Na przełęczy, która jest wyrazem doznań Witkiewicza w obliczu gór, a więc innej imponującej siły przyrody, nasunęły mu się zupełnie logicznie porównania wrażeń. Oto, jak pisze Witkiewicz: „Nad brzegiem morza całemi dniami leży się w piasku, słucha się jednostojnego szumu fal, staczających się na wybrzeże i wpatruje się bez przerwy w błękitną wodę i błękitne niebo, stapiające się gdzieś u horyzontu. Widać tu świat cały otwarty, bez zasłon aż do tych krańców, do jakich sięgnąć zdoła siła wzroku. Nic się na tej płaszczyźnie błękitnej, zmiennej nie może ukryć. Niech się gdzieś zakołysze czarna skorupka rybackiej łodzi, widać ją o milę; niech błyśnie biały żagiel albo maszt okrętu, czy smuga dymu — wśród tej nicości powietrznej każdy taki przedmiot odkrywa się bez trudu, bez szukania. Fala nadbrzeżna, powtarzając ciągle te same ruchy, biegnąca z głębiny, stająca dęba na piasku, świecąca, jak szyba z żółtego topazu i spadająca w pianach na mieliznę, tak ruchliwa, a tak jednostajna, zajmując oczy i ucho, nie pozwala zmierzyć czasu, który płynie jednostajnie i przechodzi niewiadomo na czem i gdzie. Widząc przed sobą równą linję horyzontu, nie uczuwa się potrzeby zajrzeć za nią, jest się skłonnym do nieruchomej kontemplacji. Jeżeli zamknę oczy, to jeszcze będę wiedział, że jestem nad morzem, po ciągłym szumie. Nie potrzebuję nigdzie iść, niczego szukać"*).

Góry pochłaniają człowieka w niemniejszym stopniu niż morze, a jednocześnie przytłaczają go swoją potęgą i mogą zapamiętywać go swoim bajecznym światem piękna i tajemnicy. Morze i góry to są te dwa elementy, bez których człowiekowi brak jednej z organicznych części duszy. Witkiewiczowi los nie szczędził mocnych, elementarnych wrażeń, jakie dają te dwa zjawiska natury i podzielił on duszę pomiędzy góry i morze, jeżeli idzie o piękno przyrody w jego życiu. Góry dały mu rozmach myśli, morze

*) Wędrowiec 1885 — N. 43, 44, 45 i 46 p. t. Lato w Połądze.

**) W liście z dnia 20 sierpnia (1885) pisał Witkiewicz: „Morze, morze — cóż to za piekielnie trudna rzecz do malowania! Sądzę, że miłość kobiety, jako miara niestałości nie ma żadnego sensu, gdyż jest opoką, na której można budować gmachy w porównaniu ze zmiennością i ruchliwością morza. Nie sposób nic pochwycić! Zrobiłem kilka notatek i to wszystko — zrobię jeszcze kilka, ale jeżeli mnie zawiedzie pamięć, to nie potrafię w Warszawie nic z tego uczynić.

*) Na Przełęczy, str. 82.

dało mu ich głębię i ułożyło go do snu wiecznego w Lowranie. Morze dawało mu kontemplację i „klasztorne myślenie", jak wyraził się Józef Piłsudski,*), góry budziły go do czynu i walki. Pisząc o górach w Na przełęczy, Witkiewicz stwierdzał, że, w przeciwieństwie do morza, oddziaływują one na człowieka pobudliwie, że już sam klimat górski działa tu na jednostkę podniecająco „a nadewszystko ta tajemnicza ściana gór, u stóp której się mieszka, nie daje spokoju". Jak pisze, „coś rwie" człowieka za ten wał skalisty, za ten gmach, zasłaniający pół widnokręgu i wyradza się w nim niepohamowana gorączka czynu. Nic też dziwnego, że tam, w obliczu gór, krystalizuje się cała filozofja czynu Witkiewicza, że góry stały się dlań symbolem mocy duchowych człowieka, że Tatry przemówiły doń przedewszystkiem swoim irracjonalizmem.

Witkiewicz znalazł się pod Tatrami w dobie, gdy weszły już one w całej pełni do świadomości narodu. Dawno minęły czasy Staszica, Goszczyńskiego, Pola, Zejsznera i Nowickiego, kończył się nawet okres Chałubińskiego, ks. Stolarczyka i Sabały, jakoż Tatry były już naprawdę „odkryte" dla ogółu polskiego. Ale Witkiewicz, z drugiej strony, trafił na wyjątkowy moment, kiedy idea Chałubińskiego i ks. Stolarczyka mogła była zmarnieć dla braku ich następców. I oto właśnie tutaj przypada jego rola właściwa: pogłębił on znakomicie kwestję Tatr, stworzył ich zagadnienie o wartości kulturalno-społecznej, a że istniał jeszcze wtedy zastęp ludzi, żywo z ideologją Chałubińskiego związanych, Witkiewicz stanął na ich czele i poprowadził znakomicie dzieło, stając się istotnym następcą Chałubińskiego.

A zatem zajmijmy się kwestją Tatr u Witkiewicza.

Opowiada on w Na przełęczy, jak niegdyś w Meranie, a więc po drugich swoich latach warszawskich, udał się do jednego z wąwozów górskich chory „przedelikacony przez życie napół szpitalne" — i jak czemprędzej uciekł stamtąd, bo tak przygnębił go chaos, widok rozpadania się i rujnowania świata, przygnębił go wicher w górach, ryk potoków, głazy, wiszące u szczytów, słowem, cała destrukcyjna siła w przyrodzie **). Wyznanie to jest dla nas bardzo ważne. Wtedy Witkiewicz nie miał zapładniającej idei gór, spojrzał na nie zależnie od swoich stanów psychicznych, smutnych w czasie choroby i zobaczył tylko siłę rozkładową przyrody. Teraz zetknął się z gotową ideą i Tatry stały się dlań żywą społeczną treścią, nadto uderzyły go swojem monumentalnem trwaniem, swoją niespożytą siłą istnienia i swojem pięknem.

W Na przełęczy Witkiewicz zareagował na zjawisko gór jakby człowiek nawrócony. I dopiero po szeregu lat, we wstępie p. t. Po latach, wrócił do owych sił rozkładowych przyrody, które ongiś uderzyły go tak boleśnie, ale Tatry stały się już dlań zjawiskiem zbyt potężnem i przerastającem siły jednego człowieka, by ten mógł dojrzeć zmiany wiekowe w ich łonie. A jednak te zmiany w Tatrach są. Najwięcej powodują ich ludzie, nietyle w samej grani skalnej, ile przedewszystkiem we florze i faunie. Najsilniej zaznaczyła się wola ludzka w świecie zwierzęcym Tatr i byłby on może wyginął, gdyby nie poczucie, a jak Witkiewicz twierdzi, fikcja ludzkiej własności, co przez ochronę terenów, a nawet walkę aż do przelania krwi, ochroniło resztki zwierząt od zaguby. Ci sami ludzie wytępili dalej typ zbójnika tatrzańskiego i wytępią również typ myśliwca. Ostatnim, który żył wirchowem życiem, myśliwym tego rodzaju był dla Witkiewicza Sabała. Żyje tylko jeszcze w górach pasterstwo z zachowaniem wszystkich cech pierwotnej pasterskiej kultury ludów.

To był romantyzm Tatr, który tak mocno uderzył Witkiewicza i innych. Tatry stanowiły swój świat odrębny, swoisty, w który Witkiewicz wczuwał się całą siłą duszy, i nietylko w świat tatrzański ludzki, legendarny, ale i w świat przyrody, której tak wiele poświęcił miejsca w Na przełęczy i w Po latach. Z tem wiązały się jego myśli na temat życia, świata, człowieka i narodu.

I jeszcze jedno: Witkiewicz, mówiąc o dr. Chałubińskim, nazywa go — królem tatrzańskim, — dodając, że był to jeden z najłagodniejszych i najlepszych królów, który dbał nietylko o szczęście ludu „ale także o spokój kozic i świstaków, o byt limb i smreków i pamiętał o mchu marnym i kochał dzikie i ponure głazy, stojące w milczeniu na skalnej pustyni *). Ten świętofranciszkański rys ukochania posiadał w całej pełni Witkiewicz i jego stosunek do Tatr był identycznie taki sam, jak Chałubińskiego. Pragnął, aby nie uroniły Tatry ani jednego kwiatu, ani jednej kosówki, ani jednej limby, aby nie zagubiły jednej kozicy albo niedźwiedzia, chciał je zarezerwować całe dla najdalszych pokoleń. I tak, kiedy wyginęły już prawie w górach maki halne, Witkiewicz zaczął ich hodowlę w domu, a potem siał je w dolinach, na halach i w górach, dokąd zaś nie mógł dotrzeć sam, tam posyłał najsprawniejszych górali. W ten sposób rozsiewano kwiaty na Hali Gąsienicowej, na Kopie Magury, w dolinie Białego, na reglach, w dolinie Kościeliskiej, na drodze do Morskiego Oka, a nawet pod Gerlachem.

Nic też dziwnego, że, podobnie jak rośliny, Witkiewicz pragnął podtrzymać i tamtejszą sztukę ludową, z czego uczynił zagadnienie o znaczeniu ogólno-narodowem.

Wracając do kwestji Tatr, Witkiewicz wiązał z niemi także zagadnienie swobody. Tatry były dla niego jakimś zaklętym krajem, jakimś osobliwym zakątkiem Polski, w którym jednostka na „szczytach pustynnych wobec bezgranicznych otchłani powietrznych" czuć się mogła na-

*) D. 22 maja 1924 r. w Sulejówku, w rozmowie ze mną o Witkiewiczu.

**) Na przełęczy, str. 160.

*) Na przełęczy, str. 148.

prawdę wolną. To uczucie swobody dawało człowiekowi poczucie jego sił własnych i Tatry dla niejednego były odrodzeniem. Dawały ludziom zapomnienie o nizinach życia, o niewoli pracy i dawały im rozkosz bycia sobą. Ale dlatego też Witkiewicz był wrogiem cywilizacji Tatr, był przeciwnikiem pomysłów, któreby pustynię tatrzańską zamieniały w park, co, jego zdaniem, równałoby się śmierci Tatr. Dla niego urok pustyni leżał w tem, że ona jest pustynią, niedostępną, którą w osobistym wysiłku i trudzie należało dla siebie zdobywać. A zatem pustka, bezpłodność i dzikość, oraz tajemnicza groza, to były walory irracjonalne Tatr, które niszcząc, marnowało się bogactwo duchowe narodu i robiło się z Tatr przystań dla codzienności i filisterstwa, przenosiło się do nich małość i pospolitość ludzką, która zębatą koleją wjeżdżałaby na szczyt Świnicy, bezpieczna i spokojna oraz syta widoków górskich. Dalszą konsekwencją takiej cywilizacji byłyby, zdaniem Witkiewicza, „altanki po turniach, szklane kule na patykach zielonych przed stacyjkami, żwirowane dróżki i t. p." *). W trosce tej, aby nie psuć pierwotności widoków w Tatrach, Witkiewicz przypomina J. Ruskina, który dbał podobnie o czystość krajobrazu u siebie. Ale Witkiewicz o Tatry się nie lękał: wierzył, że one same potrafią się obronić przed najazdem ludzkiej cywilizacji, wierzył w ich przyrodzoną odporność. Taką elementarną siłą odporną Tatr była dla niego tatrzańska zima, której opis artystyczny dał w Polatach.

Raz jeszcze: Tatry miały dla niego znaczenie czynnika uczuciowego w życiu polskiem. Wartości ich nie można było oceniać z punktu widzenia korzyści materjalnych, bo takich nie było. Nic też dziwnego, że dla Witkiewicza miał głębokie znaczenie moralne taki np. spór polsko-węgierski o Morskie Oko. Pisze Witkiewicz o tem w Po latach: „Ludzie trzeźwi, to jest ciaśni i pospolici, z ironicznem zdziwieniem patrzyli na tę walkę o skały i wody, których jedyną wartością było ich piękno, ich czar legendowy, na tę walkę ,która często przybierała charakter podjazdowych utarczek na Kresach**). Przemówił tu patrjotyzm irracjonalny Witkiewicza, którym przeciwstawiał się ideologji pozytywistów, otaczając uwielbieniem każdy poryw polski do niepodległości. Witkiewicz z całą pogardą traktuje tych, którzy nie doceniali ważności sporu, biorąc sprawę z materjalnego tylko punktu widzenia, którzy „przeżuwając pospolitość dusz własnych i krótkowidztwo umysłów", po zwycięstwie mrozili radość swoją trzeźwością. Czyni tu Witkiewicz porachunek z racjonalizmem popowstaniowym, jak czynił go będzie jeszcze po wybuchu Wielkiej Wojny i przeciwstawia mu idee ojczyzny, jako wartości idealnej, jako całości w życiu duchowem narodu niepodzielnej, której treść wewnętrzną, znaczenie i siłę nadaje dopiero duch narodu*). A zatem tutaj, pod Tatrami i poprzez Tatry, gruntował się jeszcze jego patrjotyzm irracjonalny. Zwycięstwo polskie w sprawie Morskiego Oka nazywał on „dobrem i krzepiącem zwycięstwem", ponieważ zwyciężyła tu sama sprawiedliwość, zwyciężał tu naród, pozbawiony własnego państwa, a więc politycznie bezsilny i nie mogący liczyć na zabiegi swoich dyplomatów. Było to zwycięstwo dla niego podtrzymaniem wiary w nasze nieprzedawnione prawa do życia, było zapowiedzią przyszłej lepszej doli i zmian szczęśliwych dla Polski w wieku XX, który rozpoczynał się, jego zdaniem, pod dobrą wróżbą. Zwycięstwo to miało nadto i tę korzyść moralną, że przerywało nienawiść obojga narodów, Polaków i Węgrów, że oczyściło Tatry ze zmory nienawiści plemiennej. W ten sposób, jak widzimy, stosunek Witkiewicza do Tatr pogłębił się w tem miejscu ideowo, poza ich urokiem piękna, które porywało go, jako malarza.

Ale ten irracjonalizm Tatr pogłębiał się także i poprzez ludzi z nimi związanych, a więc przez trójlegendę Chałubińskiego, ks. Stolarczyka i Sabały.

Jak już mówiłem, Witkiewicz trafił do Zakopanego pod koniec ich życia i działalności: Chałubiński umiera w r. 1889 (4 listopada), ks. Stolarczyk w lipcu 1893, Sabała w grudniu 1894.

Stosunek Witkiewicza do Chałubińskiego był pełnym uwielbienia stosunkiem ucznia do mistrza. Chałubińskiego cenił Witkiewicz, jako człowieka wyjątkowej kultury duchowej i wyjątkowej inteligencji, nadto jako jednostkę szlachetną i genjalną i uważał go za odkrywcę Tatr, który z nich uczynił to, czem są dla narodu dzisiaj. Całe taternictwo polskie, zakrojone na szeroką miarę rodzimego alpinizmu, uważał Witkiewicz za jego dzieło. Przytem stosunek Chałubińskiego do Tatr był nawskroś uczuciowy, było to jego ukochanie najżywsze od wirchów do trawy. Był to człowiek, którego franciszkanizm miłości Witkiewicz podkreślał.

Od roku 1873 Chałubiński zjeżdżał do Zakopanego rokrocznie, wżywał się i wczuwał w Tatry, wszedł między góry i lud, jak król tatrzański. Mówi o nim Witkiewicz, że stosunek jego do natury górskiej był, podobnie jak do ludu, oparty na silnej sympatji „graniczącej z namiętnością" i był potrzebą roztapiania się w jej ogromie i w dziwnym czarze jej obrazów. Chałubiński, zdaniem Witkiewicza, zapamiętywał się w Tatrach: „zajęty obserwowaniem tej natury, pochłonięty przez wrażenia, nie odczuwał on ani niebezpieczeństw, ani trudów, ani niedostatku**).

I to był właściwy poeta Tatr, który nie słowem, ale sobą wyczyniał je w świadomości narodu. Jego stosunek do Tatr był nawskroś romantyczny, jak romantycznemi były jego wycieczki, mające charakter niemal obrzędowy, będące jakiemś pójściem w góry uroczystem z pie-

*) Po latach, str. 117 — 119.
**) Po latach, str. 140.

*) Po latach, str. 145.
**) Na przełęczy, str. 149.

śniami, muzyką i tańcami, gromadnie i hucznie, przyczem odwaga i trud w zdobywaniu szczytów, w wytykaniu dróg nieznanych nie stanowiły wcale punktu kulminacyjnego zamierzeń — były nim Tatry same, w ich ogromie i pięknie, w uroku legendy i tajemnicy.

A jednak Chałubiński nie był odkrywcą Tatr, bo te były już znane przed nim, był tylko twórcą romantyzmu Tatr w Polsce, on, który pozatem w poglądach swoich politycznych był pozytywistą. Tego Witkiewicz nie zaznaczył.

Dalej. Był Chałubiński nadto, że tak powiemy, przyjacielem Sabały.

O ile stosunek Witkiewicza do Chałubińskiego wskazuje bądź co bądź na pewne oddalenie, pełne szacunku, o tyle stosunek jego do Sabały był osobiście bliski i Witkiewicz pogłębił świadomie jego legendę, robiąc go popularnym w kraju nietylko od czasu Na przełęczy, ale od chwili swego poznania Tatr, t. j. od roku 1886. Już wtedy pisał o nim w pierwszym swoim szkicu z gór, p. t. Tatry w śniegu.

Sabała był dla Witkiewicza wcieloną legendą tatrzańską. Życiem swojem sięgał on czasów, kiedy lud góralski stanowił odrębną społeczność, zamkniętą w ramach własnej obyczajowości i kultury. Był on żywą arką przymierza między dawnemi i młodszemi laty i w nim skupiała się cała epopeja tatrzańska. Był to nieuczony poeta Tatr, ich Homer, z którym Witkiewicz lubił go porównywać. Jego opowiadania i bajki, jego muzyka czyniły go w oczach Witkiewicza rapsodem dawnych bohaterskich czasów Podhala.

Miał Sabała niezaprzeczony talent narracyjny. Jego to wysyłał Witkiewicz w roku 1891 do Krakowa na pogrzeb Mickiewicza „bo on z tego zrobi legendę" *). Witkiewicz w tę legendę Sabały zasłuchał się był całą duszą i sam uważał się za jego ucznia, który mistrz urobił mu styl pisarski. Nie ulega też wątpliwości, że przedewszystkiem dzięki Sabale Witkiewicz wczuł się w Tatry tak, jak to widzimy w Na przełęczy. Treścią jego opowiadań, jego rapsodów bohaterskich, było dawne zbójnictwo, pasterstwo i myślistwo oraz bitwy z Liptakami, które Witkiewicz nazywa „homerycznemi" bitwami, nadto legendy i bajki, słowem, cały bajeczny świat tatrzański, owiany urokiem gwary góralskiej i staropolszczyzny. Sabała miał talent opisowy: sam w młodości zapamiętały myśliwiec, dla którego nie istniały niebezpieczeństwa w górach, obserwował umiejętnie naturę i podpatrywał jej życie. „Wirchy i przepaście, orły, niedźwiedzie, świstaki, kozice, blaski słońca, cienie chmur i mroki nocy, skały i śniegi i wonna zieleń smreków, i czarne krzaki kosodrzewiny, i szum wód spienionych — słowem, ten cały świat górski żyje w jego mowie, wzajemnie się objaśnia, ozdabia i uplastycznia. Zwięzłość, wyrazistość, jasność i dobitność określeń jest niezrównana" — pisze o nim Witkiewicz w Na przełęczy i uważa opowiadania Sabały za skończone arcydzieła, będące „wzorem doskonałości wyrażenia ludzkiej duszy i świata zapomocą słowa"*).

Sabała nie ograniczał się tylko do słów: tak dalece wczuwał się w cały swój świat legendy, że, opowiadając, przeżywał wszystko sam i wcielał się w postacie swoich bohaterów aż do Janosika włącznie. „Sabała w opowiadaniu jest i sobą i niedźwiedziem i orłem, i skałą, i Liptakiem i kozicą. Jego ręce rysują w powietrzu kontury grani, opadają po stromych ścianach skał lub ważą się, jak orle skrzydła nad przepaściami. Kiedy Sabała mówi: — Do wirchu — wznosząc oczy i palce ku górze, to się widzi szczyt zaobłocznie" — pisze o nim Witkiewicz **). Porównywał go też stale Witkiewicz z Homerem, tak dalece treść życia i materjał, z którego były zbudowane obrazy tu i tam, były, jego zdaniem podobne, że jeżeli na miejsce bohaterów Iljady lub Odessei, jakkolwiek się oni nazywają, podstawimy naszych Walczaków, Pitoniów, Gąsieniców i Mardułów, nie będziemy potrzebowali dodawać nic więcej oprócz złota i śrybła, których homerydzi mieli do zbytku, a o których pasterze hal tatrzańskich tylko marzyli" ***). Robił też Witkiewicz ciekawe próby i czytał góralom Odysseję, aby się przekonać, jak zareagują oni po Sabale na Homera: okazało się, że słuchali go ciekawie, jak opowiadań Sabały, a zwłaszcza sam Sabała, cieszył się z pomysłów Odysseusza****). Pozatem, w przekonaniu Witkiewicza, opowiadania Sabały zawierały w sobie wartość monumentalną: jak u Homera zawarty był w nich obraz epoki, pewnego stadjum w rozwoju ludzkości, pojęć i wierzeń, które już przeminęły, że wymienimy choćby tatrzański świat zbójnicki.

Przytem jest jedna rzecz ciekawa: Witkiewicz w Na przełęczy przytacza między innemi opowiadanie Sabały o zbójnikach, Suhym Jasiu, Jędrku Cajce i Stolicy z Bystrego. Suhy ukrył pieniądze towarzyskie, t. j. gromady zbójnickiej, „pod jedlicką", potem owczarze zapalili tam watrę i pieniądze się stopiły, znalazł je następnie jeden juhas i zaniósł okopconą bryłę srebra do żyda, a Suhy... oślepł. Opowiadanie to po szeregu lat odbiło się echem w najgłębszej witkiewiczowskiej noweli z cyklu Z Tatr, a mianowicie w Jędrku Cajce. Zbójnik stał się tam bohaterem innej miary i innych czasów, toż samo Suhy Jaś, jego przyjaciel, jedynie tylko Stolica z Bystrego nie pozbawiony został swoich cech pierwotnych z opowiadania Sabały.

Sabała, jak prawdziwy rapsod dawny, był także i muzykiem. Witkiewicz muzyki jego nie oceniał, gdyż nie czuł się dość kompetentnym w tym względzie, atoli czuł jedno „iż muzyka ta stanowi jeden ze sposobów jego mówienia.

*) W liście 3 lipca 1890 r.

*) Na przełęczy, str. 198.
**) Na przełęczy, str. 199.
***) tamże, str. 199.
****) tamże, str. 200.

Są w człowieku takie przeczucia, takie nieokreślone myśli, które tylko dźwięk bezsłowny wyrazić potrafi" — dodawał *). Muzyka ta była, jego zdaniem, wyrazem jakichś stanów psychicznych Sabały, o czem świadczył jednoczesny smutek na jego twarzy, przejmujący i dziwny.

A teraz pytanie, jaki był do Sabały stosunek Chałubińskiego? Określiliśmy go już mianem przyjaźni. Do kwestji tej wrócił Witkiewicz w dodatku do Na przełęczy p. t. Po latach, kiedy i Chałubiński i Sabała, obadwaj, stali się już legendą. Witkiewicz stosunek ten wyobraził artystycznie na pomniku Chałubińskiego w Zakopanem, którego był projektodawcą, a wykonawcą rzeźbiarz Nalborczyk. Oto jak pisze o tem w Po latach: „Spiżowe ich postacie, postawione obok siebie na pomniku, wyrażają chwilę przełomu w życiu ludzkiem pod Tatrami. Jeden jest blaskiem wschodu nowych czasów, drugi ostatnim odbłyskiem zachodu dawnych. Spotkali się oni w Tatrach i w dziwny sposób, genjalny mędrzec, człowiek wielkiej nauki, ogromnej kultury umysłowej, wielkiego serca, charakteru i uspołecznienia — Chałubiński — i Sabała, stary myśliwiec, morderca niedźwiedzi, włóczęga tatrzańskiej pustyni, niekiedy towarzysz zbójników, cały jednolicie wytworzony przez Tatry, ledwo umiejący się podpisać, bez innej kultury prócz tej, którą wszczepia w duszę walka i współżycie z naturą, ci dwaj, tak od siebie dalecy, tak odmiennych losów i światów, ludzie, że nawet samo zestawienie ich imion zdaje się dziwactwem, ci dwaj właśnie tak dobrze się rozumieli i tak rozumnie się uwielbiali" *).

Stosunek ten urasta do wagi zagadnienia, które w ideologji Witkiewicza odgrywało rolę zasadniczą, a mianowicie do zagadnienia istotnej wartości ludzkiej. Ponad kulturą człowieka stoi wyższa, ściślejsza miara jego wartości, a mianowicie wartość bezwzględna jego ja. I dlatego można być genjalnym człowiekiem bez wykształcenia, jak odwrotnie, można być uczonym bez inteligencji. W tym wypadku mieliśmy, jego zdaniem, dwóch ludzi genjalnych: Sabała umiał doszukiwać się w każdem zjawisku życia jego istotnej treści, posiadał intuicję poznawania prawdy „zapomocą własnej, indywidualnej metody myślenia", drugi, t. j. Chałubiński, miał intuicję serca i umiał doszukiwać się istotnej treści w ludziach. Atoli nie potrzebujemy dodawać, że oddziaływał tu również, podobnie, jak na Witkiewicza, urok samej legendy tatrzańskiej, uosobionej w Sabale.

D. c. n. *Kazimierz Kosiński.*

*) Na przełęczy, str. 200.

*) Po latach, str. 22.

DOZNANIA RELIGIJNE W NAJNOWSZEJ LITERATURZE POLSKIEJ.

D. c.

V.

... „Mój dniu malutki, późnemi cudami płonący, którego godziny nawijały się zawsze tak wolno na stare wrzeciona czasu, wieńczony uśmiechem rodziców,— dniu kochany, któryś zaczynał krok wśród dzież i mis, pełnych złotej opatrzności żółtek, a kończył w blasku kolorowym świeczek, podłużnem sercem płomienia kwitnących na choinie.

Mój dniu i nasz, w naszym domu... Nasz w każdym innym! Nasz we wszystkich domach miasta — nasz we wszystkich domach świata! Nasz, — dzieci, przejętych nabożnem czekaniem, wychylonych ku niebu, z którego nim zejdą gwiazdy i aniołowie, łuszczy się śnieg proroczy! Nasz dniu, kołysany o zmroku kolendą, w figi, daktyle i suszone owoce strojny, u kolan smutnej matki falami radości końca dobiegający, — jakże daleko odszedłeś!?

Twarde wojenne czasy obrały cię ze wszystkiego. W bitwie tęsknota po tobie została, czyż nie śmieszna między pożarem a krwią?

Gdzie złożyć twą kosztowną wyłączność, jak zamknąć przed miejscem i czasem coraz nowszym?"

Tak oto skarży się z żalem jeden z najwybitniejszych przedstawicieli młodego pokolenia prozatorów polskich, Juljusz Kaden-Bandrowski, autor noweli „Bogowie", z której te słowa wyjmuję. Człowiek, którego możnaby posądzić o wszystko, tylko nie o mdły sentymentalizm.

O jakimże to dniu mowa? Czy o dniu, kiedy w miłosnym objęciu wzroku ojcowskiego, pieszczącego najdroższe głowiny swych dzieci, w ramionach matki, której kochanie jest bez granic, która ci „ze wszystkich dróg swego życia wszystko swoje oddaje" — byłeś bezpieczny, jak pisklę w gnieździe, i jak ono nieświadomy niebezpieczeństw i okrucieństw doli?

Może i o tym „dniu malutkim"...

Ale na dnie tej tęsknoty i tego marzenia, którego „kosztowna wyłączność" z takim trudem broni swych praw przed „czasem coraz nowszym", tai się jeszcze coś innego. Tai się doznanie religijne w ziarnie swem pierwotnem: tęsknota do rzeczywistości wyższej, niż zawsze zmienne i relatywne wartości „miejsca i czasu", tęsknota do najbardziej uroczej chwili, kiedy w sercu niewinnem rodzi się Bóg!

„Podłożem — może najgłębszem — uczucia religijnego starożytnego Greka była świadomość tajemniczego życia otaczającej go natury"... „Wyraz życie rozumieć (tu) należy nie w tym sensie, w jakim zwykliśmy przeciwstawiać naturę „żywą", t. j. świat organiczny zwierząt i roślin,— naturze martwej, t. j. nieorganicznemu królestwu minerałów. Dla świadomości Greka martwa natura nie istniała: natura cała była życiem, cała — duchem, cała — bóstwem. Nietylko w swych łąkach i lasach, w swych źródłach i rzekach — boską była również i w falującym bezmiarze swych mórz, i w milczącym bezruchu swych górskich pustkowi. I tu nawet bardziej, niż gdziekolwiek. Tu, gdzie uwagi naszej nie pochłaniają oddzielne życia gajów i polanek, tutaj silniej czujemy jedno jednolite życie Jej samej, niezniszczalnego źródła wszystkich tych żyć oddzielnych, wielkiej matki — Ziemi. Jej cześć oddają wśród białych skał, jej, „górskiej Gai wszechżywnej i Zeusa samego macierzy" „(Sofokles)".

Te słowa przenikliwego znawcy kultury antycznej prof. Tadeusza Zielińskiego, przypominają mi się zawsze, gdy rozmyślam o najnowszych książkach Kadena, jak „Miasto mojej matki" i „W cieniu zapomnianej olszyny".

Źródłem religji starożytnego Greka był kult dla macierzyństwa Ziemi. Ona była „Zeusa samego macierzą". Religijność Bandrowskiego ma w sobie właśnie coś z tego pogańskiego kultu dla macierzyństwa.

„Matka nie ma czasu wyjść z domu, bo ty tam jesteś z rodzeństwem. Trzeba was karmić, pilnować, ubierać, trzeba przygotować, sporządzić to wszystko, czego codziennie potrzebujesz, a co ci się wydaje tak łatwe do zdobycia i do sporządzenia, jak powietrze, którem oddychasz. Wydaje się to łatwem, bo matka nigdy nie wypomina, że podaje ci te wszystkie rzeczy z wdzięczną radością.

Matka nie ma czasu wyjść z domu i żadnej drogi własnej nie ma, gdyż ty z rodzeństwem stoisz na wszystkich jej drogach, a ona ci że wszystkich wszystko swoje oddaje. Własnego talentu, zabawy, nauki zaniedbuje, abyś ty miał każdej chwili, ile ci tylko trzeba.

Przyzwyczajasz się i nie pamiętasz, ile w tem dobrej, a jakby bezimiennej, nienazwanej nigdy pracy i czujności. Tymczasem praca owa i czujność właśnie, z drobiazgów złożona a ogromna, o której prawie nie wiemy, nie pamiętamy, nie raczymy myśleć, stanowi o naszym charakterze, wychowaniu i całem powodzeniu późniejszego życia.

Jako dorosły mężczyzna w pracy, w pokoju, na wojnie przekonałem się, że wszystko, com dobrego zrobił, w tych właśnie cnotach matczynych miało początek. Jej uśmiechy, dawniej niezauważone, jej łzy, tylekroć przez nas, dzieci, wzgardzone, jej myśli wielkie i skromne, tyle razy przez nas, młodych chłopaków, wyśmiane, one to właśnie były nade mną, skupione w gwieździe przewodniej, błyszczącej radośnie nad każdą dobrą chwilą.

Teraz to wiem i rozumiem, ale powiedzieć matce mojej nie mogę, bo już jej na świecie niema".

„Ojciec, — to honor, siła i obrona. Gdy się człowiekiem staniesz, oddać mu będziesz mógł siłą, honorem i obroną.

Ale matce nigdy nie oddasz, jej nazawsze dłużny. Bo nie masz tyle serca dla niej, ileś z niej wziął, — jak młody dąb nie odda soków z dobrej ziemi wziętych, a które krążą teraz w jego bujnej koronie".

To porównanie matki z ziemią jest dla Bandrowskiego szczególnie charakterystyczne. Matka rzeczywiście urasta w jego utworach do symbolu „górskiej Gai wszechżywnej" i jedynym bezwzględnym, pozbawionym wszelkich wątpliwości jego poglądem na sprawę, jak powinny się ułożyć wreszcie stosunki międzyludzkie, jest— abyśmy wszyscy poczuli się dziećmi jednej matki. Wtedy zginie wszelka nierówność między nami — i wszystkich zwiąże ta miłość braterska, która każe „kochać bliźniego swego, jak siebie samego".

I tu jest właśnie źródło religijności Bandrowskiego, który z greckiego kultu dla macierzyństwa Gai wyszedłszy, dochodzi do tej samej chrześcijańskiej zasady co Modrzewski, kiedy w zakończeniu pierwszej księgi swego dzieła „O naprawie rzeczypospolitej" mówi:

„Nie godzi się nam, którzy się za bracią liczymy, sobie tylko gwoli żyć, ale raczej dobrodziejstw Ojca naszego miedzy się udzielać, które on różne różnym dał, aby tą różnością i spólnem udzielaniem powinowactwo braterstwa miedzy nami zachowane było".

I jeżeli w swoim kulcie macierzyństwa jest Bandrowski w pewnym stopniu poganinem, wielbiącym przedewszystkiem życie, bujne, bogate życie, a więc i jego źródło: „Gaję wszechżywną", to chrześcijaninem w całem tego słowa znaczeniu czyni go właśnie to głębokie poczucie „powinowactwa braterstwa miedzy nami". Z pozoru daleki od wszelkiej mistyki, Kaden zdobywa się na mickiewiczowską wprost pokorę, kiedy chodzi o jego stosunek do bliźniego, do brata.

Charakterystyczną w tym względzie jest jego książka „Zawody", gdzie daje on braterski zaiście opis pracy zawodowej ludzi, „których się chętnie niedowidzi czy niedosłyszy: druciarza, praczki, szklarza, sługi, rzeźnika, śmieciarki, szewca i t. d."

Jan Nepomucen Miller tak pisze o tej książce w swojej „Zarazie w Grenadzie".

„Książka, ta choć wyszła na kilka lat przed wojną, w obecnej dopiero chwili znalazła podatny grunt, nabrała aktualności i znaczenia (jak widać choćby z „Powsinogów beskidskich" Emila Zegadłowicza), nic więc dziwnego, że ukazało się jej drugie wydanie w r. 1922. Treścią tej książki jest, naogół biorąc, poezja pracy twór-

czej. Z pierwotną, żywiołową siłą odczuta i narzucona brutalna rzeczywistość życia, zmuszająca człowieka głodem do tworzenia przedmiotów, które dzięki swoiście twórczym wartościom pracy nabierają kosmicznego znaczenia przemiany, dokonywanej wiednie lub bezwiednie w twórczem natchnieniu pracy nad całokształtem świata. Wychodzi tedy druciarz Chudzik rankiem na robotę, popędzany głodem i słodką nadzieją zarobku, który się może nadarzy. Stłuczony garnek, który mu stary flisak do odrutowania daje, staje się dla niego tym materiałem twórczym, wokół którego unosi się kształtotwórcza i hartowna myśl głodomora. Jak artysta w chwili tworzenia, stając się „czystym podmiotem poznania", odrywa się od otoczenia, zaprzepaszczony w ekstatycznem widzeniu nowej formy wyczutego przez się życia, tak Chudzik w twórczem natchnieniu pracy: ... „nie czuł, że mu się palce na drucie, jak druty gną i na obcęgach strzępią... Że mu oczy potem zachodzą, że zgryziony, przez wargi wysunięty, język schnie, a grzbiet wysilony drętwieje. Nie znał Chudzik fatygi, ani żadnej udręki, ani wcale mitręgi.

Więc myślał se Chudzik, myślami na wsze strony niby koń uchem strzygąc, o tem, gdyby mu to cały galar zdrutować przyszło, żeby zrobił.

O tem, gdyby mu kiedy całe to miasto Kraków odrutować przyszło: żeby się namyślił, pokruszone czerepy zmyślnie złożył — i odrutował.

I gdyby mu cały ten świat odrutować przyszło,— żeby się w kupę zebrał, w sobie rozognił i dechu w płuca wziął... I żeby wtedy zamiast drutu promień z cyferblatu słońca zdarł, i żeby onym promieniem cały świat rozbity w całość drutował".

„W ten sposób — mówi Miller — najpospolitszy przejaw pracy codziennej, która wrzekomo miała być przekleństwem bożem, ciążącem na człowieku za grzech pierworodny Adama, staje się najwznioślejszym przejawem kształtowania nowej, twórczej rzeczywistości bytu, czynnością artystyczną, przelewającą ducha twórcy w nagi kształt czekającego na mistrza swego tworzywa, kosmicznem ustosunkowaniem się podmiotu do przedmiotu".

Tyle autor „Zarazy w Grenadzie"

Co do mnie, widzę tu jeszcze coś innego: widzę poczucie braterstwa między wybitnym artystą słowa i nędznym rzemieślnikiem - głodomorem, widzę powtórzenie norwidowej myśli:

Bo nie jest światło, by pod korcem stało,
Ani sól ziemi do przypraw kuchennych.
Bo piękno na to jest, by zachwycało,
Do pracy — praca, by się zmartwychwstało.
I stąd największym prosty lud poetą,
Co nuci z dłońmi, ziemią bronzowemi,
A wieszcz perjodem pieśni i profetą,
Odlatującym z pieśniami od ziemi.
I stąd największym prosty lud muzykiem,
Lecz muzyk jego płomiennym językiem.

Tak... Bandrowski czuje braterstwo ludzi, którzy wszyscy są dziećmi swoich matek, czy jednej jakieś wielkiej i świętej Pramacierzy. I dlatego w biednym druciarzu Chudziku dostrzega te same świat kształtujące porywy i natchnienia, które rozpłomieniają jego twórczą duszę!

W zakończeniu prześlicznej noweli „Ostatnie imieniny", zawartej w zbiorze „W cieniu zapomnianej olszyny", opisując straszliwą niedolę młodego palacza okrętowego, którego ujrzał w hali pieców, opływającego strugami potu, Kaden nagle postanawia:

„Do tego człowieka muszę podejść!

Daleko za morzem i lądem, chroniony przed zimnem i gorącem, leży o tej porze pod białą lampą na stole mój syn w świeżych powijakach i różowemi stopkami wymachuje ku światłu.

My, rodzice, nie przypuszczamy ani przez jedną chwilę, że na to go chowamy, by miał po latach stanąć z łopatą przed piecem!...

. . . . . .

Zaprawdę, — matka moja pośpiesza z drogi niepowrotnej otrzeć tu pośród kotłów twoje czoło zroszone.

Człowieku nieznanej doli, mowy i przygody,— idę ku tobie teraz przez ziemię, wodę, ogień, — przez cały świat. Nie ustanę, nie spocznę, nie wytchnę, póki z pod pokładu nie zawołasz ku mnie, twarz od ognistej czeluści odwróciwszy:

— Mój bracie!

Nie — ten altruizm nie jest zgoła pochodzenia racjonalistycznego. Nie da się przekuć w żadną doktrynę społeczną, nie ma nic wspólnego z dyszącym nienawiścią klasową komunizmem rosyjskich „zbawców świata". To jest chrześcijańska miłość bliźniego w najczystszej swej postaci.

I istotnie — stanął nad nią Chrystus. Chrystus z cytowanej już tu noweli „Bogowie", zamieszczonej w zbiorku „Przymierze serc".

W utworze tym opisuje Kaden dolę „rzeźbiarza świętych", który po śmierci ukochanego dziecka stał się z rzemieślnika twórczym artystą — i w figurę Chrystusa zaklął swój ból niezmierzony. Figura została odrzucona przez księdza, który był ją zamówił do kościoła:

— No tak, dobry człowieku, to jednak nikogo nie zachęca. Odstraszać będzie ludzi — przeraża w końcu! A to powinno zachęcać. No — więc jakże?

Ale nędzarz-rzemieślnik i wielki artysta jednocześnie nie odpowiedział kompromisem. Nie zdradził swego Boga, który narodził się w jego sercu z wielkiej miłości i wielkiego cierpienia...

I oto okazuje się, że wobec śmierci pogański czciciel życia, jakim często bywa kipiący nadmiarem sił, chciwy przygód i walki z niewiadomem Kaden — stał się nagle ze starożytnego Greka jakimś średniowiecznym ekstatykiem i wizjonerem — świętości. Gaja darzy życiem, ale nad śmiercią, władzę mieć powinien — tylko Bóg.

To też, gdy przypomniał sobie o niej przed ogniskiem, przy którem siedział kiedyś z dwoma małymi synkami (nowela „Kukułka" ze zbioru

„W cieniu zapomnianej olszyny"), „przed ogniskiem, jak radość płomienna strzelającem ze ścieżki" — to z głębi przerażonego serca wydarły mu się te proste, a przejmujące słowa:

„Ty, której cień najlżejszy odstukujemy zawsze trzy razy palcem w drzewo, do której, śmiejąc się przezornie, wołamy: na psa urok!

Któraś powinna być, — bądź zawsze — sto tysięcy mil i największą ilość, „razy" na świecie, — daleko od nas wszystkich, a najdalej od dzieci!

.... bądź zawsze na świecie w niczyim ręku,— tylko Boga!

(D. c. n.) *Leon Rygier.*

RELIGJA I KULTURA WSPÓŁCZESNA.

D. c.

MISTYKA.

VI

Dotychczasowe wywody zmierzają do ustalenia pojęcia mistyki, które rożni się znacznie od powszechnie przyjętego, urobionego pod kątem widzenia religji. Mistyką nazywam światopoglądowe nastawienie i życiowe dążenie do unicestwienia jaźni i stawania się, na rzecz powszechności bytu jedynego, w celu substancjalnego zlania się człowieka z tą jednością.

W określeniu tem nie został uwzględniony zupełnie pierwiastek religijny, czyli innemi słowy istnieć może niereligijna mistyka; dowodem słuszności tego twierdzenia jest pierwotny buddyzm lub obecna naturalistyczna mistyka.

Rozpowszechnione więc mniemanie, jakoby mistyka była najczystszym i najpiękniejszym kwiatem religji, uważam za błędne; religja i mistyka są to dwa koła, które nie nakrywają się się wzajemnie, ani z konieczności mieszczą się w sobie, lecz mogą się przecinać. Niektórzy badacze dochodzą wprawdzie do twierdzenia, że dwa te koła muszą się siłą logicznej konieczności wzajemnie wykluczać t. j. wszędzie gdzie jest mistyka, niema religji, gdzie jest religja niema i nie może być mistyki, jest to jednak twierdzenie jednostronne; lecz nawet i przy tem zastrzeżeniu sąd o rozbieżności między mistyką a religją nie traci na wartości.

A. Strona podmiotowa.

Doznania religijne po wsze czasy i u wszystkich ludów mają charakter osobowy, personalny. Staje „ja" ludzkie wobec tak lub inaczej pojmowanego „ja" boskiego w tęsknocie, świętym lęku i oddaniu się. Uczucie życiowe pod wpływem religijności wprawdzie nie jest pozbawione przypływu i odpływu skoro chodzi o jego napięcie, ma w sobie jednak cechy jakościowej stałości; jest to poleganie na łasce Bożej w walce z grzechem w niezawodnej nadziei odniesienia zwycięstwa osobistego i powszechnego. Natomiast doznania mistyczne noszą wyraźną cechę naturalistycznych lub kosmicznych przeżyć, pozbawionych charakteru osobowego; łatwo może mistyka wprowadzić w błąd jednostki jej obce, ponieważ posługiwać się będzie wyrazami o znaczeniu ustalonem w sposób odmienny, nadając im swoisty sens w celu szerzenia swych zapatrywań lub uniknięcia prześladowań. Sufizm perski albo t. zw. mistyka „braci wolnego ducha" w średniowieczu chrześcijańskiem dostarczają potemu licznych dowodów. Wreszcie szczera chęć znalezienia kompromisu postara się o powiązanie religijności mistycznej z historyczną.

W doznaniach mistycznych wyraźnie występuje ruch wahadłowy między niebiańskiem uniesieniem a najgłębszą depresją.

B. Strona przedmiotowa.

Objawienie w mistyce traci cechy pośrednictwa przez wybrane historyczne osobistości, występujące w dziejowym procesie, który nabiera znaczenia religijnego, jest jednocześnie probierzem prawdy objawienia. Mistyk zna tylko bezpośrednie objawienie, dostępne dla każdego, kto usilnie dąży do zjednoczenia się z bóstwem. Żadne Pismo Święte nie może więc sobie rościć pretensji do wyjątkowej wartości, bowiem wyżej ponad verbum externum stoi verbum internum, przez Boga w duszy ludzkiej głoszone. Sebastjan Frank Schwenkenfeld, Weigel i liczni inni głoszą te zapatrywania w stosunku do Biblji, takież stanowisko zajmuje sufizm wobec Koranu, kabała wobec Tory.

Oddawna twierdzono, że mistyka konsekwentna i szczera, wkraczając w dziedzinę religji, podważa jej podwaliny przez wprowadzenie pojmowania Boga bezosobowego, czyli że szerzy panteizm. Nie ulega wątpliwości, że mistyce wszędzie grozi takie niebezpieczeństwo, lecz często cofa się ona przed tym ostatnim krokiem. Mniemam, że nazwa „panteizm" nie nadaje się do oznaczenia stanowiska mistyki, należy raczej przychylić się do zdania nowatorów, wprowadzających dla „określenia stanowiska mistyki termin: „teopanizm" (bogowszystkość), mistyka jednak nie straci swego charakteru naturalistycznego lub kosmicznego.

Wobec usunięcia transcendentyzmu na rzecz imanentyzmu boskiego, ginie często najgłębsza różnica między bóstwem a istotnością człowieka, który w pewnym stopniu staje się bogorówny; różnica zaś między Bogiem a człowiekiem będzie polegała na obleczeniu preegzystującego pierwiastku ludzkiego w ciało grzechu, bo materji zmysłowej. Grzech więc otrzymuje znów charakter naturalistyczny.

Kosmologja mistyki opiera się na pierwiastkach monistycznych, lecz mocą sprzeczności wpada czasami w dualizm krańcowy.

Konsekwentna mistyka odrzuca zbawicieli, uznawanych przez religje historyczne, co jej bynajmniej nie przeszkadza podnosić do poziomu boskości swych przewodników; z tego powodu najwyżej uduchowiona mistyka często w mniej lub więcej wyraźny sposób spada do poziomu antropolatrji.

Sam zaś akt zbawienia, dokonany przez zbawiciela, jest dla wyznawców mistyki tylko podnietą, budzącą chęć zespolenia się z bóstwem, zbawiciel zaś wzorem, godnym naśladowania. Dzieło więc zbawienia musi być dokonane przez każdego mistyka zosobna — drogą meditatio, contemplatio, unitio.

Słowo Boże i sakramenta mają jedynie za zadanie budzić doznania mistyczne i są symbolami łaski, spływającej od bóstwa na mistyka, na niższym zaś stopniu uduchowienia zostają zmaterjalizowane i ex opere operato zespalają człowieka z bóstwem.

Jedyny tylko cel przyświeca zarówno jednostce jak ludzkości — utonąć w bóstwie, aby nastąpił przez reemanację powrót całego bytu do swego praźródła.

Z tych zasadniczych przesłanek wynika stanowisko mistyki względem religji historycznej, w szczególności zapatrywania na naukę, społeczność kościelną i jej organizację, na kult religijny. Wszystkie te zewnętrzne cechy religji historycznej w oczach szczerego mistyka nie posiadają żadnej wartości.

Istotna zaś różnica między mistyką a historyczną religją wypływa z odmiennego pojmowania istoty Boga i istoty człowieka, jako osobowości; kierunek ludzkiej woli będzie stanowił obok miłości w zaufaniu treść aktu łączenia się z Bogiem, objawiającym się w procesie historycznym przez osoby od Boga powołane. Stąd też pada odmienne światło na zbawienie, jego drogi i jego cel. Nie ulega wątpliwości, że mistycy w obrębie pewnych wyznań i religij starają się szczerze lub obłudnie uzgodnić swoje stanowisko z pobożnością religijną. W istocie jednak wszystkie historyczne religje są dla mistyka obojętne; stoi on ponad religijnemi lub wyznaniowemi różnicami, wszelka bowiem konsekwentna, szczera mistyka jest po wsze czasy i we wszystkich religjach w treści jednakowa.

VII

Mistyka jako pewne nastawienie życiowe może wkroczyć i do dziedziny religijnej. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że mistyczna religijność jest często połączona z ogromnym wysiłkiem ducha i ciała, nie cofającym się przed złożeniem najcięższych ofiar. Łatwo jest sądzić i potępiać mistykę, lecz trudno jest przewyższyć ją lub nawet tylko jej dorównać. Bezprzykładną ofiarnością życia i mienia podbija często mistyka ludzi, spragnionych życia w duchu.

To bohaterstwo jest tem godniejsze podziwu, że mistyk nie znajduje oparcia w rzeczach, instytucjach lub masach, lecz siłę czerpie z wnętrza swego. Oto dlaczego dla ludzi sytych obrzędowości i formułek, mistyka jest ratunkiem duszy.

Jej uwewnętrznienie idzie ręka w rękę z bezpośredniością doznań, z istotnemi przeżyciami. Posiada więc mistyczna pobożność niezaprzeczalnie bardzo ważkie walory, pociągające ludzi, którzy, nabywszy je istotnie, czują się „teleioi" — doskonałymi.

Ta ekskluzywność doskonałości najjaskrawiej występuje w misterjach, w których kilku zaledwie ludzi, u Manichejczyków podobno zaledwie siedmiu, było w posiadaniu najwyższego stopnia wtajemniczenia, a ilość „przypieczętowanych" wśród sekt średniowiecznych była zawsze bardzo szczupła. Ta psychologicznie zrozumiała, religijnie i moralnie odrażająca antropolatrja pokutuje aż po dzień dzisiejszy, przyjmując najdziwaczniejsze postaci. Nie można się więc dziwić, że czasami mistycy, wznosząc się na szczebel najwyższy doskonałości przez zlanie się z prajednością, lekce sobie ważą lub pogardzają wszystkiem, co ich może wiązać z życiem codziennem i jego nakazami; dlatego często są narażeni na zarzuty, jakoby stali ponad dobrem i złem. Oskarżenia mistyków o niemoralność powtarzają się stale w dziejach ludzkości i musiałyby zamilknąć wreszcie, gdyby pewne wykolejenia nie dawały karmu złośliwym plotkom; niezaprzeczalnie bywają mistycy bohaterami istotnej moralności i, przerastając często o całe niebo szary tłum, ściągają na siebie niechęć, która występuje w oszczerstwach. Z drugiej jednak strony, znając i uznając tylko jedną najwyższą wartość—zupełne zlanie się z prajednością — nie doceniają oni lub nawet odrzucają inne wartości, jako nie posiadające rzeczywistej ważności. Stąd bierze początek ich daleko posunięty krytycyzm względem kultury w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, a nawet względem moralności.

Jeżeli stopniowe urzeczywistnianie wszystkich wartości w dziejowym pochodzie nazwiemy kulturą, to mistycy dla tej pracy nie mają zrozumienia, czasami nawet zwalczają ją, ponieważ odwraca uwagę od najważniejszego — stopienia się z prabytem. Stojąc zdala od wszelkiej pracy kulturalnej, prowadzonej ku pożytkowi społeczeństwa kulturalnego, pogrążają się w kwietyźmie, z którego jedynie litość nad cierpiącą ludzkością ich wyrywa i skłania do pełnienia najcięższych posług. W ofiarnem poświęceniu dla dobra cierpiącego świata nie mają często sobie równych, a jednak ich ideałem pozostaje: usunąć się w zacisze, dokąd nie dolatywałyby odgłosy ciężkich walk życiowych, jedynie żyć dla swej duszy i tego, co jest dla niej Bogiem. Wysoce kulturalne jednostki, lub pewne warstwy, zrażone walką brutalną, a spragnione życia w głębiach ducha, znajdują ujście dla swych tęsknot w mistyce; do niej też zwracają swe oczy ci wdziedziczeni, którzy w beznadziejnym pesymiź-

mie zwątpili w sens twórczej pracy, budującej gmach lepszego jutra.

Nasze społeczeństwo nie jest do tego stopnia przesycone kulturą, aby mogło sobie pozwolić na zbytek hodowania mistyki, nie ma też powodu rzucać się w jej objęcia, zwątpiwszy w celowość i skuteczność swej pracy i w głęboki sens dziejów narodu. Szczytny optymizm, na wierze we wszechmądrość i wszechmoc Bożą oparty, ratuje dusze przed mistyką bezpłodną i skieruje myśli, uczucia i wolę ku twórczej pracy dla przyszłości świetlanej. *Prof. K. Serini.*

ODGŁOSY JUBILEUSZOWE.

(PRZEMÓWIENIE PANA PREZESA EMILA ŚWIDY)

W imieniu Zboru Warszawskiego witam łaskawych gości i zarazem dziękuję im za wzięcie udziału w naszej pamiątkowej uroczystości, a spełniam miły obowiązek tem gorliwiej, że w licznym udziale gości naszych widzę nietylko dowód życzliwości dla Zboru, ale i zainteresowanie temi sprawami, których Zbór jest wyrazem. O dziejach Zboru Warszawskiego słyszeliśmy w kościele, nie będę się więc powtarzał, ale słyszeliśmy również, że Zbór nasz powstał w ostatnich latach niepodległości Polski, a w czasie wiekowej niewoli nie mógł rozwijać się normalnie, nie jest on przeto odzwierciadleniem dziejów całego Kościoła Ewang.-Reformowanego w Polsce. Dla nas obecnie ważnem jest jednak znać nie jeden fragment z przeszłości, lecz jej całokształt. Korzystając więc z dzisiejszego zebrania, pragnę myślą cofnąć się wstecz do powstania wielkiej idei zwanej Reformacją, bo stamtąd płynie dla nas nauka, doświadczenie i wskazówki — jaką drogą kroczyć należy, żeby sprawa, której służymy, zajęła należne jej stanowisko.

Reformacja była koniecznością dziejową. Na wiele lat przed jej przyjściem potrzeba jej tkwiła w umysłach i duszach ludzkich, gdy więc zaczęto głosić jej zasady, ogarnęła ona z żywiołową siłą połowę świata chrześcijańskiego, przytem najbardziej wówczas oświeconego, i nietylko ogarnęła, ale utrwaliła swoje istnienie i zapewniła sobie rozwój, którego świadkami jesteśmy dzisiaj.

Tak było na Zachodzie. W Polsce Reformacja kroczyła również pochodem tryumfalnym. Najwznioślejsze umysły, najoświeceńsza część społeczeństwa polskiego wyznawała Roformację, lub jej sprzyjała. Najlepsi królowie nosili się z zamiarem wprowadzenia Reformacji w całym kraju. Połowa Senatorów, liczne przedstawicielstwo Sejmu, najmożniejsze rody były reformowane, a nawet niektórzy przedstawiciele duchowieństwa katolickiego widzieli w Reformacji odrodzenie myśli i odnowienie społeczne i państwowe, zdawało się przeto, że Reformacja w Polsce odegra taką rolę, jaką odgrywała na Zachodzie. A jednak zaszedł fakt w dziejach ludzkości niemal nieznany. Po świetnych początkach nastąpił gwałtowny upadek. Nie upłynął okres czasu, odpowiadający życiu jednego pokolenia, a z Reformacji pozostały szczątki!

Bylo i jest powszechnem mniemaniem, że przyczynę upadku Reformacji stanowiły prześladowania ze strony władz, ludności, duchowieństwa katolickiego, a w szczególności jezuitów. Pogląd ten jest powierzchowny, a istotne przyczyny były niestety głębsze, gdyż tkwiły w wadliwej organizacji i sposobach, jakiemi Reformacja była krzewiona. Wszak na Zachodzie również prześladowano ewangelików, prowadzono walki dziesiątki lat, wytępiono połowę ludności Państwa Niemieckiego — a jednak Reformacja ostała się. Również i chrześcijaństwo w pierwszych wiekach było tępione przez świat pogański ogniem i mieczem, a jednak chrześcijaństwo zwyciężyło i utrwaliło swoje panowanie tam właśnie, gdzie było najwięcej prześladowane.

Pierwszą przyczyną słabości Reformacji w Polsce było to, że ogarnęła ona szczyty społeczne, a nie sięgnęła do mas. Umysły oświecone zawsze są skłonne do krytycyzmu i wątpliwości, które rodzą chwiejność i nie dają odporności i siły do walki. Jedynie owi prostaczkowie biblijni, dla których wiara jest warunkiem bytu, gdy znajdą w niej zaspokojenie swych potrzeb duchowych, nie dadzą jej sobie wydrzeć żadną przemocą fizyczną, gotowi do wszelkich ofiar, a nawet i ofiary życia. Wymownym przykładem tego była druga dzielnica Państwa w Polsce — Ks. Litewskie. Tam, zawdzięczając energji i zdolnościom organizacyjnym jednego człowieka (Radziwiłł), Reformacja objęła tysiące prostego ludu i chociaż kierownicy umarli lub odstąpili od Reformacji, lud ten pozostał jej wiernym do dnia dzisiejszego, i, wyróżniając się swojemi zaletami, dał dowód dodatniego wpływu, jaki Reformacja wywarła, a który to wpływ mógł objąć całą ludność Państwa Polskiego. Dlaczego więc nie starano się zaszczepić Reformacji w masach ludowych? Był w tem powód natury politycznej: lękano się wciągnąć masy w wir walk religijnych, by nie wywołać powszechnego pożaru, jak na Zachodzie, lękano się walki, ale zaprzepaszczono ideję, a z nią w następstwie i państwowość Polską. Po za brakiem organizacji na małe rozpowszechnienie się Reformacji miały pewien wpływ przyczyny natury psychicznej. Słowianie wogóle, a polacy w szczególności, są skłonni do mistycyzmu, uniesień, szukają więc form, któreby ich wrażliwość podniecały, i nie mogą zrozumieć tej prostej łączności duszy ludzkiej z jej Stwórcą, jaką daje Reformacja.

Drugą przyczyną słabości Reformacji był brak duchowieństwa, które stałoby na wysokości swego zadania. Razem z Reformacją przyszli z Za-

chodu jej propagatorowie, nie znając nietylko ducha narodu polskiego, ale i mowy, nie mogli więc krzewić należycie nowej myśli i wytworzyć tej łączności i zaufania, jakie powinny cechować stosunek wyznawców do Kościoła. Pod względem moralnym nie odznaczali się też oni wysokim poziomem. Jak zwykle w chwilach wielkich przewrotów stają do walki za najszczytniejszą sprawę ludzie, którzy do wielkości samej sprawy nie dorośli, a uważają ją jedynie za środek do osiągnięcia własnych korzyści. Jak wielki był brak duchownych i organizacji może służyć dowodem fakt, że ze śmiercią Łaskiego nastąpiła całkowita dezorganizacja, szerząc zgorszenie i odstraszając tych, którzy do Reformacji się skłaniali. Byli i tacy duchowni (Orzechowski), którzy, głosząc wielkość zasad Reformacji, a zdradziwszy ją następnie dla przyrzeczonych korzyści, sami później zwalczali te same zasady, jako nie mające żadnej łączności z nauką chrześcijańską. Wynikiem tych wad była największa przyczyna upadku Reformacji— wewnętrzna niezgoda. W samym początku powstał cały szereg odłamów Kościoła Ewangelickiego, więcej z powodów osobistej ambicji, niż istotnych różnic, które zwalczały siebie z zaciekłością większą, niż to czynił wspólny przeciwnik. Prowadzono dysputy o czcze formy, puste słowa, siejąc niezgodę i zgorszenie i dając przeciwnikowi broń do ręki. Słusznie mówiło duchowieństwo katolickie: „patrzcie — oto jest nowa wiara, która sama stwierdza szereg w sobie sprzeczności, co może ona dać wam, gdy sama nie wie dokąd dąży", i ci, którzy mieli wątpliwości do swego pierwszego wyznania, nie widząc ich rozwiązania w ewangelicyzmie, cofali się, nie chcąc pogrążać się w większych jeszcze błędach. I tak odpadali pod wpływem tych rozterek jedni za drugimi—całe pokolenia i rody, aż wreszcie pozostały szczątki, które już nie o rozwoju Reformacji, ale o obronie od zagłady myśleć musiały.

Taki jest obraz przeszłości, składający się niestety z samych ciemnych barw. Jaka więc jest teraźniejszość i jaka zapowiada się przyszłość? Teraźniejszość pod wieloma względami podobna jest do przeszłości. Wprawdzie nie trzeba się obawiać prześladowań, bo od nich chronią nas prawa, a przedewszystkiem duch czasu, jednakże istnieje cały szereg czynników, których wpływ na rozwój Kościoła Ewangelji ujemnie wyrazić się może. Przedewszystkiem, jak dawniej tak i obecnie, niema w Kościele Reformowanym tej jedności, jaka być powinna wobec wspólnych zasad i dążeń. I dzisiaj panują rozterki, których podkładem, jak i dawniej, jest separatyzm, wypływający nie z istotnych różnic, lecz ambicji jednostek. Mamy również i wrogów, którzy pod względem potęgi o wiele przewyższają owych z przeszłości. Do wrogów nie zaliczam Kościołów o innych kierunkach. Pogląd, że jeden Kościół jest wrogiem drugiego, winien być w społeczności każdego Kościoła wypleniany, gdyż sianie nienawiści wogóle, a w zakresie wyznaniowym w szczególności, wyda rezultat tylko szkodliwy. Z istnieniem ludzkości jest związana różnorodność poglądów, potrzeb umysłowych i duchowych, a tem samem i różne formy ich zaspakajania, muszą więc istnieć i Kościoły o różnych kierunkach, chociaż wychodzić one mogą z jednej zasady. Kościół, który uczy wierzyć i wiarę swoją opiera na najwyższem Dobru ludzkości nie może być czyimkolwiek wrogiem, natomiast wrogiem jest ten, który uczy nie wierzyć i pozbawia ludzkość wszelkiego oparcia moralnego.

Istnieją dzisiaj organizacje i jednostki, które słowem i drukiem starają się wpajać przekonanie, że religja jest przeżytkiem, kajdanami myśli i zaprzeczeniem postępu. Żądają, by wychowanie młodzieży było nietylko bezwyznaniowe— lecz antywyznaniowe. To jest wspólny wróg wszystkich Kościołów, przeciwko któremu winny się one zjednoczyć bez różnicy kierunków i zwalczać go każdy w swojem środowisku. Wróg ten jest dla Kościoła Reformowanego stokroć groźniejszy od owej tłuszczy z przed wieków, bo ona rozbijała mury naszych świątyń, a tamten zabija duszę. Mamy więc dzisiaj dużo wolności, ale i nie mniej przeciwności. Winniśmy więc zaniechać wszelkich wewnętrznych rozterek, a zjednoczyć swoją energję i gorliwość w krzewieniu zasad, które uważamy dla ludzkości za zbawienne i krzewić je nie gwałtem, lecz owem „słowem", które jest silniejsze od wszelkiei przemocy. Od nas więc zależy rozwój Kościoła Reformowanego i jego siła, nie przeciwnicy spowodują jego upadek, ale nasza własna słabość.

Niewątpliwie do rozwoju Kościoła naszego może przyczynić się ogólny stan państwa, a mianowicie: praworządność, rozumnie pojęta wolność, oświata i przeświadczenie o stałości stosunków, opartych na zdrowym rozwoju całego narodu. Tam gdzie panuje chaos — nie może się dziać nikomu dobrze, nawet tym, którzy by w tym chaosie znaleźli poparcie, gdyż wcześniej czy później nastąpi ogólny upadek.

Kończąc swoje przemówienie składam życzenie, aby praca Zboru Warszawskiego przyczyniła się do chwały naszego Kościoła i Ojczyzny.

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

Ze Zboru Warszawskiego.

W dniu 26.IV. b. r. odbyło się Ogólne kwartalne Zgromadzenie członków Zboru Ewang. Reformow. Warszawskiego.

Po odczytaniu i przyjęciu protokułu z poprzedniego ogólnego Zgromadzenia, przedstawiono zebranym sprawozdanie rachunkowe i bilans funduszu zborowego za rok 1926. Wyjaśnień co do sprawozdania udzielał członek Kolegjum, W. p. Antoni Górski. Odczytano następnie protokuł komisji rewizyjnej i po krótkiej dyskusji

sprawozdanie rachunkowe i bilans stały przyjęte.

W dalszym ciągu wysłuchano sprawozdań ogólnych i rachunkowych obu zakładów naszych dobroczynnych — Przytułku dla Sierot i Domu Starców i sprawozdania te przyjęto.

Po raz pierwszy przedstawiono następnie Zgromadzeniu sprawozdanie z działalności szkółki niedzielnej przy Zborze naszym, którego to sprawozdania wysłuchano z dużem zainteresowaniem.

Jako ostatni punkt porządku dziennego figurowały wybory Prezesa i Wice-Prezesa Kolegjum Kościelnego, na miejsce W. W. p. Emila Świdy i Ludwika Brinckenhhoffa, których kadencja czteroletnia właśnie się kończyła. Ustępujących wybrano ponownie prawie jednogłośnie.

**
*

Ze Zboru Zelowskiego.

W dniu 3 maja r. b. zmarł w Zelowie po długiej chorobie ś. p. Teofil Fibich, były długoletni członek Kolegjum Kościelnego Zboru Zelowskiego i ojciec obecnego Ks. Pasterza tego Zboru — W. Fibicha, w 74-ym roku życia.

Zmarły pochodził z znanej i szanowanej w Zelowie rodziny, był wnukiem jednego z założycieli Zboru Zelowskiego i synem długoletniego wójta gminy Zelowskiej i wielce dla Zelowa zasłużonego obywatela tamtejszego — ś. p. Bogumiła Fibicha.

Zmarły ś. p. Teofil Fibich przez przeszło 25 lat pełnił obowiązki członka Kolegjum Kościelnego Zboru Zelowskiego, i to w czasach dla Zboru najcięższych, kiedy tak liczna parafja pozbawiona była stałego duszpasterza a ówczesne władze rosyjskie próbowały chytrością, obietnicami i wreszcie groźbą skłonić Czechów Zelowskch do przejścia z ewangelicyzmu na prawosławje. Jednym z tych, którzy ówczesnym satrapom śmiało odpowiedzieli, iż Zbór Zelowski nie życzy sobie odwiedzin duchownych prawosławnych, a wierze swych ojców wiernym pozostać pragnie, był właśnie ś. p. Teofil Fibich. Pojmował on swoje obowiązki „starszego" Zboru bardzo pięknie i troszczył się nie tylko o stan materjalny Zboru, ale przedewszystkiem o budzenie i pielęgnowanie wśród zborowników ducha prawdziwej i szczerej religijności. W czasie nieobecności Ks. Pasterza w Zelowie pełnił zmarły zastępczo jego funkcje przy odprawianiu nabożeństw.

Pogrzeb zmarłego odbył się w Niedzielę, dnia 8 b. m., z kościoła parafialnego na cmentarz miejscowy. Dla oddania czci pamięci zmarłego i odprowadzenia zwłok na miejsce spoczynku zgromadziły się tłumy nie tylko współwyznawców naszych, ale i współobywateli bez różnicy wyznania. Przed trumną postępowało trzech duchownych, mianowicie — Ks. Skierski z Warszawy, Ks. Ostachiewicz z Żychlina i Ks. Zaunar z Łodzi. Zarówno w kościele jak i na cmentarzu wygłoszone były mowy, charakteryzujące zmarłego i podnoszące jego zasługi dla Zboru i społeczeństwa miejscowego. Cześć jego pamięci!

**
*

W Niedzielę, dnia 12 czerwca, r. b. rozpocznie swe obrady Synód tegoroczny Kościoła naszego. Obrady odbywać się będą jak zwykle w Warszawie w sali zborowej Parafii Warszawskiej. W dniu tym odprawione będzie w Kościele naszym na Lesznie uroczyste nabożeństwo synodalne, rozpoczynające się o godzinie 10 rano i połączone z aktem Komunji Ś-ej, do której przygotowanie odbędzie się w przeddzień — w Sobotę, dnia 11.VI. o godzinie 6 p. p. Bezpośrednio po nabożeństwie rozpoczną się obrady Synodu. Obrady będą kontynuowane w poniedziałek w godzinach popołudniowych, a prawdopodobnie i we wtorek, o ile sprawy, na porządku dziennym postawione, wcześniej załatwione nie zostaną. Przed każdą sesją synodalną odprawiane będzie w Kościele naszym na Lesznie krótkie nabożeństwo z kazaniem. Oby Bóg łaskawy użyczyć nam raczył błogosławieństwa swego w pracach naszych na Synodzie.

**
*

Manifestacyjny pogrzeb. — Pod tym tytułem znajdujemy w wychodzącej w Katowicach „Polsce Zachodniej" opis pogrzebu ś. p. D-ra Jana Michejdy, burmistrza m. Cieszyna, jednego z najbardziej zasłużonych działaczy narodowych z czasów niewoli, zmarłego nagle w Skoczowie na uroczystości otwarcia nowej linji kolejowej Chybie — Skoczów. W opisie tym czytamy, że pogrzeb ś. p. Jana Michejdy, który się odbył w Cieszynie dnia 17 b. m. „przybrał charakter niebywałej manifestacji narodowej. Nietylko Cieszyn żegnał swego burmistrza, lecz cała ziemia Cieszyńska oddała ostatni hołd swemu b. prezesowi Komisji Rządzącej, swemu b. prezesowi Rady Narodowej Śląska Cieszyńskiego i b. długoletniemu posłowi do Śląskiego Sejmu w Opawie i do parlamentu austrjackiego w czase niewoli. A w tym hołdzie uczestniczyły władze wojewódzkie i komunalne z całego Śląska. Pożegnano wielce zasłużonego obywatela Ojczyzny pogrzebem iście królewskim".

Ś. p. Jan Michejda był ewangelikiem i pochodził z rodziny, która wydała Śląskowi kilku księży dla sprawy narodowej i polskiego ewangelicyzmu wielce zasłużonych. Sam zmarły aż do śmierci żywy brał udział w życiu Zboru Cieszyńskiego i całego Kościoła ewangelickiego w Polsce. Pogrzeb odbył się z mieszkania zmarłego do Kościoła ewangelickiego, a z Kościoła po skończonej ceremonji kościelnej orszak pogrzebowy wyruszył na cmentarz komunalny na Bobrku. „W Kościele wygłosił piękną egzortę Ks. Senjor Kulisz, kreśląc pracowity i zasłużony żywot ś. p. Michejdy. Ze swych 74 lat życia przeszło 50 poświęcił zmarły dla sprawy narodowej tak na polu politycznem jak i oświato-

wem, oraz gospodarczem i społecznem. Wszystko, co ważniejsze z polskiej roboty w czasie niewoli i później stało się w Cieszynie, działo się z inicjatywy lub z wybitną współpracą ś. p. Jana Michejdy".

Charakterystycznem dla stosunków na Śląsku jest, że orszak pogrzebowy kroczył na cmentarz „wśród głosu dzwonów wszystkich kościołów cieszyńskich — tak ewangelickich jak i katolickich. Jeszcze bardziej nas dziwi, że na cmentarzu, poza innymi licznymi mówcami, przemawiali także dwaj księża rz.-katoliccy — Ks. poseł Londzin, długoletni współpracownik ś. p. Michejdy na niwie narodowej i przyjaciel osobisty zmarłego, przemawiający imieniem ludu polskiego na Śląsku Cieszyńskim i Związku spółek rolniczych, oraz Ks. poseł Brzózka, wiceburmistrz, żegnający zmarłego imieniem miasta Cieszyna. Ciekawi jesteśmy, czy u nas możliwym by się okazał fakt przemawiania księdza rz.-katolickiego nad grobem ewengelika, choćby ten był osobistym przyjacielem przemawiającego? Jednakże inni są jacyś ludzie ci ślązacy! Pamięci zmarłego — szlachetnego człowieka i zasłużonego ojczyźnie Polaka — składa i „Jednota" na tem miejscu hołd.

***

W ostatnim 21-ym numerze „Zwiastuna Ewangelicznego" podany jest okólnik Konsystorza Ewangelicko-Augsburskiego, podający Księżom-Pastorom tego wyznania wskazówki, jak się mają zachować w stosunku do ewangelistów, studentów teologji i Księży innych wyznań, obowiązanych lub pragnących dobrowolnie w ten czy inny sposób czynnymi być w Zborach wyznania ew. augsburskiego.

Otóż nie wolno dopuszczać do ambony żadnego ewangelisty, choćby ten był wyznania ew. augsburskiego. Ewangelistom wolno przemawiać tylko z za pulpitu. Żadnemu laikowi nie wolno przemawiać na nabożeństwach w kościołach lub domach modlitwy, jeżeli nie posiada pisemnego zezwolenia od Konsystorza. Ewangelista wyznania ew. augsburskiego, nie posiadający pisemnego zezwolenia Konsystorza, może chwilowo działać w danej parafji jedynie na osobistą odpowiedzialność miejscowego pastora, który obowiązany jest niezwłocznie, a w każdym razie nie później niż po upływie dni trzech, zawiadomić o tem Konsystorz. Ewangelistów innego wyznania wcale do działalności w parafii ew. augsburskiej dopuszczać nie wolno.

Zastrzeżenia co do studentów teologji pomijamy i przechodzimy do tego, co okólnik o Księżach mówi. Czytamy więc, że „służbę liturgiczną i udzielanie sakramentów może sprawować wyłącznie Ksiądz wyznania ewangelicko-augsburskiego. Księża innych wyznań ewangelickich mogą wygłosić kazania z ambony za zezwoleniem Konsystorza; pastorowie, ze względu na wyjątkowe okoliczności dopuszczający ich na ambonę bez zezwolenia Konsystorza, winni o każdym poszczególnym wypadku niezwłocznie, a w każdym razie nie później niż po upływie dni trzech, zawiadomić Konsystorz".

Oczywiście Konsystorz Ew. Augsburski ma prawo wydawać zarządzenia, jakie za słuszne uważa, aby prawowierność członków Kościoła Ew. Augsburskiego nie była narażoną na niebezpieczeństwo. Ale jak to pogodzić z hasłami, wysuwanemi na Zjeździe w Wilnie i przyjętemi przez przedstawicieli wszystkich wyznań ewangelickich, a głoszącemi wspólnotę w pracy szerzenia Ewangelji? I jeszcze jedno. W okręgu Konsystorskim Warszawskim na terenie b. Kongresówki i w dawnym zaborze pruskim istnieje cały szereg zborów luterskich, do których zapisani są jako parafianie i nasi współwyznawcy reformowani, opłacający w tych zborach składkę kościelną. Do tych Zborów dojeżdżają od czasu do czasu nasi Księża, aby dla reformowanych odprawić w świątyni luterskiej nabożeństwo i udzielić im Sakramentu Komunji Ś-tej. Jakże teraz będzie, skoro okólnik Konsystorza Ew. Augsburskiego powiada, że służbę liturgiczną i udzielanie sakramentów może sprawować w świątyni luterskiej wyłącznie ksiądz wyznania ewangelicko-augsburskiego, a Księża innych wyznań ewangelickich mogą tylko wygłaszać kazania z ambony (a nie z za pulpitu tylko — przypisek nasz), i to za zezwoleniem Konsystorza? Dotychczas odprawialiśmy w kościołach luterskich nabożeństwa, a więc sprawowaliśmy służbę liturgiczną, i to nie tylko dla reformowanych, bo i parafianie wyznania luterskiego zawsze na takie nabożeństwa licznie się gromadzili, i udzielaliśmy sakramentów chrztu i Komunji Ś-ej, oczywiście tylko reformowanym. Czy więc teraz wzbronionem nam to będzie, lub też wyjednywać sobie będziemy musieli na to specjalne zezwolenie Konsystorza Ew. Augsburskiego?

Ośmielamy się wyrazić obawę, że tego rodzaju zarządzenie sprawie zgodnego i braterskiego współżycia w ojczyźnie naszej ewangelików różnych odcieni nie bardzo się przysłuży i dziwnie się jakoś kłócić z nawoływaniami do jednoczenia się całego ewangelicyzmu w Polsce, najgłośniej rozlegającemi się wśród pewnych sfer, należących do tego właśnie Kościoła, którego naczelna władza takie zarządzenie wydała.

S.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł 150; II str. — 100; III str. — zł 75; ½ str. — zł 75, 50, 35; ¼ str. — zł 40 30, 20, i ⅛ str. bez względu na stronę — zł 20.

STRONY ZWYKŁE: cała strona — zł 100; ½ str. — 50; ¼ str. — 30; ⅛ — zł 20. — Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Drukarnia M. S. Wojsk., Przejazd 10.

DRUKARNIA

MINISTERSTWA SPRAW WOJSKOWYCH

WARSZAWA, PRZEJAZD 10

TELEFONY: 51-25, 272-51, 282-66.

DZIAŁY:

DRUKARNIA bogato zaopatrzona w czcionki. Maszyny pośpieszne. — Maszyna rotacyjna. — Stereotypja. — Linotypy.

vvvv

LITOGRAFJA: Maszyny najnowszego systemu do formatu 90×125. — Materjał pomocniczy.

vvvv

INTROLIGATORNIA: Najnowsze maszyny do falcowania, szycia nićmi i drutem. Duży wybór materjałów i ozdób do najwykwintniejszych robót w zakres introligatorstwa wchodzących.

vvvv

WARSZTATY MECHANICZNE: Urządzenia pierwszorzędne. Maszyny precyzyjne. Specjalna maszyna do ostrzenia noży introligatorskich do długości 1.60 m.

WYKONANIE WSZELKICH ROBÓT Z WSZYSTKICH DZIAŁÓW PIERWSZORZĘDNE I SZYBKIE.